

STULECIE WINNYCH  
— OPOWIADANIA —

*Pamięci moich dziadków  
oraz ojca – Zofii, Stefana  
i Janusza Grabowskich.*



AŁBENA GRABOWSKA

STULECIE WINNYCH  
————— OPOWIADANIA —————

# ŻONA DLA LEKARZA

**M**oja mama pragnęła, abym wyszła za mąż za lekarza. – Nigdy ci wtedy chleba nie zabraknie – oznajmiła, nalewając nieco zbyt energicznie herbatę do ręcznie malowanej filiżanki w różowe kwiatki.

– Tak, mammo – odpowiedziałam ze smutkiem, bo dawno temu zwątpiłam, że jakikolwiek kawaler zechce związać się z kobietą, która przekroczyła dwudziesty czwarty rok życia. – Jeśli jakiś doktor mnie zechce, mogę zostać jego żoną.

– I nie grymasz za bardzo, Karolino – dodała. – W twoim wieku i położeniu trzeba brać, co się nawinie.

Zdobyłam się jedynie na kiwnięcie głową. Potem zerknęłam na moją siostrę haftującą serwetkę. Anna była bardzo zdolna. Umiała pokrywać batyst najpiękniejszymi wzorami i wyczarowywać szydelkiem najdelikatniejsze koronki. Poza tym miała głowę na karku. Pan Bóg poskąpił jej urody, ale obdarzył rozumem, co pozwoliło Annie skończyć studium nauczycielskie i tym samym zarabiać na rodzinę. Ja miałam nieco więcej wdzięku, regularne rysy, oczy, które ludzie nazywali przepastnymi, i powabną figurę, ale rozumu chyba za grosz.

– Mammo, ona nic nie wie – odezwała się, nie patrząc na mnie.

Nie mówiła wiele. Zamknęła się w sobie, odkąd mężczyzna, z którym była zaręczona i którego kochała ponad wszystko, odszedł

pewnego szarego zimowego dnia, zostawiwszy krótki list. Nazwał ją w nim „najcudowniejszą istotą na świecie”, zwrócił jej wolność i oznajmił, że wybiera się za morze w poszukiwaniu lepszego życia. Nie dodał ani słowa na temat tego, że w tymże życiu i dla niej mogłoby znaleźć się jakieś miejsce. Siostra przyjęła swój los z godnością kobiety pozbawionej złudzeń.

– Czego nie wiem? – spytałam ostrożnie.

Matka nigdy nie mówiła wprost. Jeśli mogła nie wspominać o czymś, co nas dotyczyło, robiła to, a jednocześnie zachowywała się tak, jakbyśmy były świadome jej planów. Mogłam się jedynie domyślić, że wzmianka o lekarzu nie jest przypadkowa.

– Jutro przyjdzie na obiad doktor Kossobudzki. – Ona także na mnie nie patrzyła. – To wdowiec, bardzo stateczny, pobożny i, jak doszły mnie słuchy, wielce tobą zainteresowany.

Doktor Kossobudzki był dobrym człowiekiem, szlachetnym i oddanym pacjentom. Znałam go od lat, szanowałam i obdarzałam pewną dozą sympatii. Nie na tyle jednak, by widzieć w nim mojego męża.

– Co to znaczy, że jest wielce mną zainteresowany? – spytałam spokojnym głosem, chociaż przerażenie ścisnęło mi gardło.

Matka nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Tę część dyskusji o moim potencjalnym małżeństwie wzięła na siebie Anna.

– Ciotuchna nam doniosła, że wielce – odparła i po raz pierwszy na mnie spojrzała. W jej oczach koloru orzecha odbiła się tęsknota za zwyczajnym życiem, jakie po śmierci ojca nie stało się naszym udziałem. Oczy Anny wyrażały żal, że nie wyszła za mąż i nie urodziła piątki dzieci. O tak, ona była stworzona do tego, aby mieć gromadę dzieci, psy myśliwskie, roztyć się i podejmować w majątku męża tuzin pociotków i zubożałych krewnych.

– Jego córka mieszka w Warszawie – zauważyła matka. Była to jedna z typowych dla niej odpowiedzi, nic nie wyjaśniających.

– A co ciotuchna wam doniosła? – Nie poddawałam się. Odstawiłam filiżankę na stolik i wpatrzyłam się w matkę i siostrę. Obie milczały. Wreszcie Anna przełamała ciszę.

– Doktor wielce samotny, szczególnie po wyjeździe Zosi do stolicy – zaczęła – chciałby przyjaciółkę od serca poślubić. Będziesz zadowolona.

– Ale dlaczego ja? – spytałam. – Dlaczego ty za niego nie wyjdiesz?

Kula w gardle rosła. Czemu wybrał mnie? Nie jestem ani zbyt urodziwa, ani bogata, nie mam pięknego głosu ani zdolności do prowadzenia domostwa. Dawno temu uznałam, że staropanieństwo jest mi pisane. W przeciwieństwie do Anny.

– O mnie nie pytał – odparła krótko, bez śladu żalu, po czym powróciła do haftowania chusteczki.

Matka nie odpowiedziała.



Stefan Kossobudzki był człowiekiem starym i zmęczonym. Staralam się być dla niego miła, ale na samą myśl, że miałabym połączyć się z nim węzłem małżeńskim, robiło mi się gorąco i zaczynałam zbyt szybko oddychać. Matka postarała się jak nigdy. Na środku stołu stało ciasto polane syropem malinowym, obok owoce w cukrze, obrane migdały oraz marcepan. Poczulałam się jak bardzo stara panna, która tylko na taki ochłap może się połączyć.

– Czy zechciałby pan napić się domowej lemoniady? – spytałam po nagłana wzrokiem matki.

– Dziękuję, ale sfermentowane napoje szkodzą mi na żołądek – odpowiedział. – Pani także nie powinna ich pić.

Matka skinęła na Kazię, naszą służącą, i ta czym prędzej zabrała dzban lemoniady ze stołu. Skrzywiła się przy tym, kiedy myślała, że nikt na nią nie patrzy. Doktor zreflektował się, że jego wypowiedź wprowadziła nas w konsternację.

– Z przyjemnością napiję się herbaty – dodał, więc wstałam i nalałam do filiżanki parującego bursztynowego napoju.

– A może kieliszeczek wiśniówki? – zaszczebiotała matka.

– Nie. – Pokręcił przecząco głową. – Alkohol powoduje u mnie poty i wzmożone ciśnienie krwi. Nie chciałbym tu pośród tak pięknego przyjęcia dostać apopleksji.

Anna spojrzała na mnie ze współczuciem, a następnie zwróciła się do doktora Stefana:

– Czy pan doktor niezdrów?

– Zdrów jak ryba – zaprzeczył natychmiast. – Pod warunkiem, że ktoś o mnie dba. Na śniadanie muszę zjeść jajko, na obiad koniecznie rosół, niezależnie od pory roku, kolację powinienem spożyć lekka. Nie mogę pić alkoholu ani wielce modnej dziś kawy. Uważam zresztą ów płyn za wyjątkowo obrzydliwy...

Znów zaczęłam głębiej oddychać. Czy jako żona miałabym inne obowiązki niż nadzorowanie gotowania rosółu i pilnowanie odpowiedniej twardości gotowanych jajek?

– Proszę skosztować migdałów. – Matka podsunęła mi miskę prawie pod nos.

– Owszem, poczęstuję się, gdyż bardzo są dobre na nadkwasotę. Co prawda na nią nie cierpię, ale zapobieganie chorobom ważniejsze niż samo leczenie.

– Jest pan godnym uczniem Hipokratesa. – Siostra posłała mi spojrzenie pełne życzliwości, a potem przeniosła wzrok na mnie.

Niemalże słyszałam, jak nakazuje mi w myślach, abym odzywała się częściej i dała się poznać jako osoba dobrze wychowana, czyli miła i potulna. Ja nie wiedziałam jednak, co mam powiedzieć. Ze wszystkich sił pragnęłam, aby Pan Bóg ulitował się nade mną i zrobił coś, co pozwoliłoby naszej rodzinie przetrwać, a przy tym nie zmuszałoby mnie do tak tragicznego kroku.

– No cóż. – Doktor odłożył na bok serwetę, którą wcześniej zasłaniał kolana i zwrócił się ku mnie. – Czy pani przemyślała moją propozycję, panno Karolino?

– Ja... – Rzuciłam rozpaczliwe spojrzenie matce. – Ja nie wiem...

Dlaczego nie mógł zdobyć się choćby na namiastkę romantycznych oświadczeń? Czy będziemy rozmawiać o tak ważnych kwestiach, jakby chodziło o sprzedaż krowy na targu, bo mało mleka daje? Doktor zrozumiał moje „nie wiem” po swojemu.

– Chciałbym, aby oddała mi pani swą rękę. Jestem wielce samotny.

Byłaby pani droгим przyjacielem mojego serca. Jeśli okaże się pani dobrą żoną, spełnię wszelkie pani zachcianki. Jeśli ma pani takie życzenie, możemy zamieszkać w Warszawie, ba, nawet w Krakowie.

– W Krakowie! – Matka klasnęła w dłonie.

– Tak, w Krakowie – przytaknął. – Mam tam kamienicę po moim droгим ojcu. Mam nawet następcę, który jest niezbyt lotny i gdzie mu tam do mnie, ale wyrobi się z czasem... Niestety nie doczekałem syna, aby przekazać mu swój dorobek. Zatem: nic mnie tu nie trzyma. Jak mniemam, panią także.

Ponownie nie odpowiedziałam. Czy naprawdę nic nie trzymało mnie w Otwocku? Jeśli przyjąć, że matka i siostra to było nic, mogłam chociażby następnego dnia wyjechać do Krakowa. Cóż bym jednak tam robiła?

– Hmm – chrząknęła Anna.

– Ja... – ponownie zaczęłam.

– Niech pani tak nie oddycha – powiedział, przez co zaczęłam sapać jeszcze bardziej i zakręciło mi się od tego w głowie.

– Ja... – powtórzyłam z rozpaczą, ale i tym razem nie mogłam dokończyć swojej myśli. Przed oczami mi pociemniało. Twarz starego doktora zniknęła za zasłoną mroku.



Kolejne dni minęły mi na roztrząsaniu wszelkich za i przeciw. Prawie wszystko przemawiało przeciwko decyzji o zamążpójściu. Za była jedynie matka, która widziała mnie już w bieli przy ołtarzu, a potem w powozie do Krakowa, gdzie będę wielką panią. Anna słała mi jedynie pełne współczucia spojrzenia, ale poza tym się nie odzywała.

Jakież to wygodne – myślałam ze złością.

– Karolino – powiedziała matka następnego dnia, kiedy wróciłam z ogrodu z naręczem kwiatów i zaczęłam układać je w wazonach. – Zostaw, ja to zrobię, a ty masz tu trochę owoców. Zanieś do szpitala, dla chorych.



Zastygłam. Nieopatrznie dotknęłam różanego kolca. Syknęłam z bólu, a potem szybko zlizalam kropelkę krwi. Słodycz krwi sprawiła, że znów zrobiło mi się niedobrze.

– Czy to wypada? – zaniepokoiła się Anna.

– Idź z nią – zdecydowała matka, której wcześniej nie przyszło do głowy, że samotna panienska maszerująca z koszykiem poziomek do szpitala dla gruźlików to nie najlepszy pomysł.

Siostra bez słowa odłożyła ostatnią z tuzina batystowych chusteczek z wyhaftowanym mnie na złość monogramem KK i sięgnęła po kapelusz.

– Chodźmy – powiedziała, a ja kiwnęłam głową.

Połowę drogi przebyliśmy w milczeniu. Wreszcie przystanąłam, odwróciłam się do niej i krzyknęłam jak pierwsza lepsza służąca:

– Czemu ty nic nie mówisz?! Czemu nic mi nie poradzisz?

Anna skurczyła się w sobie.

– Cokolwiek zrobisz, ja będę tego żałowała. – Westchnęła. – Będę żałowała, że ci nic nie doradziłam, źle doradziłam albo...

Nie było trzeciej możliwości.

– To dobry człowiek i wydaje się, że będziesz szczęśliwa – powiedziała prosząco.

Na pewno nie. Szczęśliwa mogłam być tylko wtedy, gdybym związała się z kimś z miłości. Chociaż i to nie dawało gwarancji szczęścia. Nasza matka zakochała się w ojcu piszącym do niej liściki pełne płomiennych wyznań. Opowiadała nam, jak recytował wiersze pod balkonem niczym Romeo, a ona skryta w cieniu firany modliła się, aby rodzina zaaprobowала jej wybór.

– Matka nie była szczęśliwa – zauważyłam.

– Sama zatem widzisz, że męża powinna wybierać rodzina. Mama odradzała mi zaręczyny z... Lucjanem. Gdybym posłuchała...

Gdyby posłuchała, byłaby tak samo samotna jak dziś, chociaż okazywano by jej nieco mniej współczucia. Najpierw ojciec, który przegrał majątek w karty, a następnie palnął sobie w łeb, potem narzeczony, który uciekł za morze. Cóż za los? Czy mój u boku starego mężczyzny będzie lepszy?

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – powiedziała żałośnie. – Ale podobna okazja może się nie trafić.

Weszłyśmy na teren szpitala. Rozejrzałam się wokoło. Otaczał go przepiękny park, taki jak tylko przy cmentarzach lub szpitalach być może. Na drewnianych ławkach siedzieli rekonwalescenci w towarzystwie szarytek. Słońce paliło niemiłosiernie i pomyślałam, że czepce pielęgniarek chronią je przed słońcem. Mój kapelusz nie spełniał tego zadania. Na twarzy czułam słoneczny żar. Za chwilę wyjdą mi piegi i nie zechce mnie nawet stary mężczyzna.

– Gdzie możemy znaleźć pana doktora Kossobudzkiego? – spytałam jedną z sióstr, starszą, przysadzistą, odzianą w szarą suknię z wyraźnie odznaczającymi się pod pachami plamami potu. Zawstydziłam się, jakbym to ja przejawiała podobną słabość.

– Drugi pawilon, na lewo. – Omiotła nas uważnym spojrzeniem, a ja pomyślałam, że wie o oświadczeniach doktora.

– Dziękujemy. – Anna uśmiechnęła się do niej, po czym pociągnęła mnie za łokieć i skarciła cicho: – Nie stój tak jak słup.

Odwrociłam się gwałtownie i zrobiłam krok naprzód, prawie że zderzając się z mężczyzną, który szybkim krokiem podążył ścieżką. Straciłam przy tym równowagę i gdyby siostra mnie nie przytrzymała, niechybnie bym się z nim zderzyła. Mężczyzna ów zupełnie tego nie zauważył. Podążył głęboko zamysłony, ignorując zupełnie otoczenie, w tym nas. Popatrzyłam na niego z oburzeniem, ale i na to nie zwrócił uwagi.

– Trzeba będzie chwilę poczekać – odezwała się szarytka. – Stary doktor o tej porze ma konsylium. Mogą panienki poczekać tutaj lub we wnętrzu.

– Dziękujemy – powtórzyła Anna, wzdrygnąwszy się na dźwięk słowa „stary” i spojrzała na mnie pytająco.

Gdyby wypadało, wrzuciłabym ramionami. Poczułam dziwne zniechęcenie. Chciałam wracać. Pomyśl, aby przynieść do szpitala owoce wydawał mi się więcej niż zły. Co więcej, byłam pewna, że ośmieszymy się, wkraczając z poziomkami w koszyku do tego miejsca

pełnego nieszczęśliwych chorych ludzi. Czemu matka narażała nas na śmieszność? Czy to miało pomóc mi podjąć decyzję o wyjściu za tego człowieka i wyjeździe do Krakowa? Czy w Krakowie rosły poziomki?

– Chodźmy na spacer – zaproponowałam w końcu.

W milczeniu obeszlęśmy dwa razy park. Mijałyśmy chorych siedzących na ławkach. Ich wątłe ciała sprawiały wrażenie wykonanych z wosku.

– Nie gap się na tych ludzi – wyszczała Anna. – Nie widzisz, że są chorzy? To nie wypada.

Ignorując ją zupełnie, podeszłam do samotnej, wychudzonej kobiety i z uśmiechem wręczyłam jej koszyczek.

– Na zdrowie.

– Dziękuję pani – odezwała się zachrypniętym głosem. – Zdrowia już nie odzyskam, ale poziomki zjem z przyjemnością. – Przyjrzała mi się uważnie. – Niech panię Pan Bóg błogosławi. Niech panię Pan Bóg ześle dobrego męża.

Odeszłyśmy. Ja, oglądająca się na tamtą kobietę, i Anna, zła na mnie, że oddałam koszyk.

– Co my teraz zrobimy? – spytała, przekornie pochylając głowę.

– Wrócimy do domu? – W moim głosie zabrzmiała stanowczość. – I powiem matce, że nie mogę przyjąć tych oświadczeń.

– W takim razie powiesz to doktorowi, a nie jej – oznajmiła i pociągnęła mnie w stronę wskazanego przez grubą siostrę pawilonu.

Odwaga mnie opuściła. Skoro to matka chciała mnie wydać za męża i sama układała się ze Stefanem Kossobudzkim, czemu ona nie miała by przekazać niedoszłemu narzeczonemu niedobrych wieści?

– Ja...

– Trochę odwagi. – Popchnęła mnie i znalazłyśmy się w ciasnym korytarzu. Po prawej stronie zobaczyłyśmy zamknięte podwójne drzwi, po lewej korytarz kończył się schodami. – Idziemy tam. – Wybrała schody.

Modliłam się, aby doktora tam nie było. Już wolałabym zostać jego żoną, byle tylko nie dawać mu kosza w miejscu pracy.

– Co jeśli będą z nim pacjenci albo inni lekarze? – spytałam płaczliwie.

– Poczekamy, aż zostanie sam.

– A jeśli nie będzie go, bo... już poszedł do domu?

Nie musiała odpowiadać. Nad nami rozległ się podniesiony głos człowieka, któremu właśnie postanowiłam odmówić, tym samym skazując się na staropanieństwo. Anna przystanęła. Było jasne, że niedoszły narzeczony w ostrych słowach beszta kogoś młodszego wiekiem i doświadczeniem.

– Pan nic nie umiesz, panie kolego! – usłyszałyśmy. – Pan jesteś jedynie impertynent!

– Za pozwoleniem. – Drugi głos, bardziej cichy, brzmiał bardzo stanowczo. – Gdybym nie założył do opłucnej cewnika, pani Hodorowska byłaby już na tamtym świecie, bo płyn w opłucnej...

– Nie będziesz pan mi tu imputował! – krzyczał doktor Kossobudzki. – Sam bym założył cewnik. Pan żeś to zrobił bez wprawy, ryzykując życie tej kobiety!

– Życie to ona by straciła, gdybym czekał na pana doktora do następnego dnia. I osierociłaby trójkę dzieci.

– Coś takiego! Co za bezczelność! I pan zmierzasz zastąpić mnie na stanowisku?! Pan nie masz w sobie za grosz pokory tak koniecznej w naszej lekarskiej praktyce!

– Mam w sobie wiele pokory, szanowny panie doktorze. Podobnie jak umiejętności, których zwykłem używać dla dobra pacjentów. Przypomnę przypadek tamtego dziecka. Jak pan twierdził, zachłysnęło się...

– Cisza! Milczeć!

– Tymczasem ono – kontynuował głos, ignorując polecenie – zainhalowało do płuc owoc tarniny. Stąd kłopoty z oddychaniem!

– A owo urządzenie, któreś mu pan w gardło wepchnął, mogło doprowadzić do...

– Ale nie doprowadziło! – Młody głos stracił niedawne opanowanie. – A urządzenie skonstruowałem sam.

– Dosyć tego! Nie będziesz pan mi tu rządził! Nie będziesz pan mi tu wydawał opinii! Nie będziesz pan mi tu się szarogęsił! Jeszcze dziś napiszę list do władz, aby nie oddawano panu szpitala we władanie!

Wpatrywałyśmy się w siebie z przerażeniem. O czym mówili ci mężczyźni? Który z nich miał rację?

– Dobrze więc, niech pan pisze, co pan chce. Niech pan wyjeżdża do swojego Krakowa, Warszawy czy gdzie tam pan planuje. Ja tu zrobię, co uznam za stosowne. A jeśli nie tu, to w innym miejscu.

– Dopilnuję, żeby żadna porządna klinika nie wzięła pana do pracy! Będziesz pan co najwyżej jako wiejski doktor próbował wydrzeć ciemny lud z łap różnych znachorów!

Tego już było za wiele. Anna nie zdołała mnie zatrzymać. Wbiegłam po schodach i stanęłam twarzą w twarz z wykrzywionym wściekłością obliczem Kossobudzkiego.

– Panna Karolina? – Wściekłość ustąpiła miejsce zdumieniu. – Co pani tu...

Nie czekałam, aż dokończy.

– Przyszedłam przynieść panu poziomki, ale nie dam ich panu, bo pan jest... – zawahałam się – ...złym człowiekiem pan jest. Nie dam panu poziomek. Swojej ręki też nie dam. Nie pojedę ani do Krakowa, ani do Warszawy. Jak pan może? Takie rzeczy...

Siostra ciągnęła mnie za rękaw. Twarz Kossobudzkiego pokrywała purpura. Człowiek stojący obok niego przypatrywał mi się z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Stokrotnie przepraszam pana doktora – mówiła Anna. – Siostra jest nieco znużona upałem.

– Nie jestem znużona upałem! – zaprotestowałam. – Jestem zawiedziona. Jestem rozczarowana!

– Co też panią tak rozczarowało? – spytał nagle młody człowiek w fartuchu lekarskim.

Najwyraźniej on był adresatem gorzkich słów, które wypowiedział mój niedoszły narzeczony.

– To prywatna rozmowa – zauważyła Anna.

– Niezupełnie prywatna, skoro pani krzyczy na pół szpitala. – Le-  
karz się skrzywił. – Poza tym jestem wybitnie zainteresowany, aby  
szanowny pan doktor Kossobudzki ożenił się z panią i wyjechał do  
Krakowa. Marzę o tym, odkąd się tu pojawiłem, szanowna pani. Wy-  
trzymuję niewiedzę i dziecianniałość tego oto człowieka. – Wycelował  
palcem w swojego zwierzchnika, a ten z wyraźnym cierpieniem na  
twarzy osunął się na stojące nieopodal krzesło. – Wytrzymuję tylko  
dlatego, że ów człowiek mieniący się lekarzem przyrzeka mi, że ożeni  
się i osiadzie z dala od tego miejsca! Tymczasem pani...

– Za pozwoleniem... – rozległ się słaby głos starego doktora.

– Ależ drogi panie... – powiedziała w tym samym czasie Anna.

– Niech pan przestanie! – krzyknęłam. Straciłam już dawno repu-  
tację miłej i grzecznej panienci, mogłam, ba, chciałam nawet pozwo-  
lić sobie na wyraźną impertynencję. – Niech mi pan nie mówi, z kim  
mam się żenić! – wrzasnęłam niczym przygłucha dziewczyna pracu-  
jąca u nas w obejściu. – Jak będę chciała, wyjdę za męża! Jak nie, to nie!

– Ja bym chciał, żeby pani wyszła za tego pana! Jak mówiłem, marzę  
o tym i jestem gotów prosić o to panią na kolanach.

– Ależ... – próbowała wtrącić się Anna.

– Nie! – krzyknęłam jeszcze głośniejsze. – Choćby panu na złość, nie!

– Panno Karolino! – zagrział Stefan Kossobudzki, o którym na  
chwilę zapomniałam, zajęta kłótnią z młodym lekarzem. – Wycofuję  
się z mej propozycji!

– Niech pan to jeszcze przemyśli, zacny kolego. – Impertynent zało-  
żył ręce na piersiach i wpatrywał się we mnie z arogancją na przystoj-  
nym, dopiero teraz to zauważyłam, obliczu. – Powtarzam, będę błagał  
na kolanach!

– Nie! – Jęknęła Anna, kiedy zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią  
upadł przede mną na kolana.

– Niech pani wyjdzie za męża za tego człowieka i zabierze go do Kra-  
kowa dla dobra wszystkich tutejszych pacjentów!

– Jest pan skończony... – Zajęczał stary doktor, trzymając się za ser-  
ce i dysząc jak miech kowalski.

– Niech pan tak głęboko nie oddycha – powiedziałam do niego. – Bo nam tu pan zemdleje.

Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, zatem sama zaczęłam nabierać powietrza, ile sił w płucach, wypuszczać je i ponownie nabierać, aż gorset zrobił swoje, zrobiło mi się ciemno przed oczami i osunęłam się wprost we współczujące ramiona siostry.



Kolejne dni pamiętam jak przez mgłę. Ciche kroki Anny na schodach, dotyk chłodnej dłoni na moim czole, kojącej na krótką chwilę rozgorączkowane ciało i szept „śpij, kochanie, sen to zdrowie”. Kiedy jednak zapadałam w sen, nie przynosił on ukojenia. W majakach widziałam starego doktora, który porywa mnie z rodzinnego domu i wiezie niby do Krakowa, ale tak naprawdę zostawia w lesie na pastwę głodu i wilków. Albo tamtego młodego, jak siłą wlecze mnie do ołtarza, gdzie czeka Kossobudzki, jeszcze starszy niż naprawdę, chociaż opieram się i krzyczę, że nie wyjdę za mąż.

– Czy ona wyzdrowieje? – Głos matki przebił się przez mgłę wyrzutów sumienia i strachu o przyszłość.

– Musimy się modlić – odpowiedziała Anna, a ja znów zapadałam się w ciemność.

W przeciwieństwie do nich nie modliłam się o swoje wyzdrowienie, tylko o to, aby złe sny nie męczyły mnie przed śmiercią. Byłam przekonana, że umrę, jeśli nie z choroby, to ze wstydu, jaki przyniosłam rodzinie.

– Karolinko, słyszysz nas? – zapytała matka, a ja w odpowiedzi tylko mrugnęłam.

– Odezwij się do nas – błagała siostra.

– Przepraszam – wykrztusiłam jedynie i natychmiast uciekłam w głąb siebie. W sen i majaki.

Trzeciego dnia mojej choroby Anna weszła do pokoju.

– Karolino, Karolino...

Próbowałam otworzyć oczy, ale okazało się to ponad moje siły. Zdo-  
łałam unieść tylko nieco rękę.

– Jest tutaj ten... lekarz – powiedziała cicho. – Upiera się, że musi  
cię zbadać.

Przeraziłam się. Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie chcę nigdy więcej wi-  
dzieć tego człowieka. Jakże musiał mną pogardzać.

– Nie mogę. Nie – poprosiłam cicho.

– Nalega.

– Odpraw go, proszę. Nie mogę przecież się z nim zobaczyć.

– Kiedy on... – zaczęła, ale nie dokończyła myśli, gdyż rozległo się  
energiczne pukanie i drzwi stanęły otworem.

Anna zasłoniła usta ręką. Ja skuliłam się w łóżku. On przestąpił  
przez próg.

– Jestem lekarzem – powiedział do mojej siostry. – W takim cha-  
rakterze tu przyszedłem. Proszę, aby pani opuściła ten pokój i zache-  
kała na dole. Zbadam pacjentkę, która, jak mi doniesiono, przeze mnie  
znajduje się nieomal na łożu śmierci.

Anna jak zahipnotyzowana wyszła z pokoju, zamykając za sobą  
drzwi. Dosłyszałam jeszcze jej uspokajający ton i gniewny głos matki.  
Zostały mi zupełnie samą z tym strasznym człowiekiem.

– Cóż. – Przypatrywał mi się, jakbym była szczególnie interesują-  
cym przedmiotem. – Na co pani cierpi? – Zbliżył się do łóżka, a ja  
odruchowo naciągnęłam kołdrę na szyję.

– Ja... – odparłam jak zwykle, kiedy nie wiedziałam, co odpowie-  
dzieć. – Ja nie wiem. To pan jest przecież...

– Bóle głowy? Gorączka? Duszności? Kaszel? Światłowstręt? Upo-  
rczywy świąd?

Zatrzęsłam się z oburzenia.

– Wypraszam sobie! – powiedziałam słabo. – Proszę natychmiast  
wyjść z mojego pokoju. To nie wypada! Nie odpowiem na ani jed-  
no pytanie!

– Świetnie – mruknął, a następnie podszedł do okna i odsłonił  
zasłony. Fala światła zalała pokój. Zamknęłam oczy, ale raziło nawet



przez zamknięte powieki. – Proszę pokazać język – usłyszałam i posłusznie wykonałam polecenie. – Powiedzieć „a” – zarządził.

Spełniłam i tę prośbę. Potem położył rękę na moim czole. Następnie złapał mnie za przegub i trzymał, patrząc na zegarek. Oblała mnie fala gorąca.

– Proszę zachować spokój. – Nie odrywał oczu od cyferblatu. Wreszcie wydał werdykt. – Musi pani wstać. Jest pani zupełnie zdrowa.

– Ależ...! – Uniosłam się nieco. – Ja... umieram...

– Nie tym razem, droga pani. – Uśmiechnął się. – Co stwierdzam z przyjemnością.

Bezradnie opadłam na poduszki i zamknęłam oczy. Po dłuższej chwili rozchyliłam powieki. Ciągle siedział na krzeselku obok i przyglądał mi się tym samym ciekawym wzrokiem. To było najdziwniejsze doznanie w całym moim dotychczasowym życiu. Leżałam w łóżku, a obok mnie siedział mężczyzna. Obcy mężczyzna.

– To co? – spytał. – Zgoda?

– Nie kłóciliśmy się – wymamrotałam.

– Nie, ale odniosłem wrażenie, że mnie pani nie lubi.

– To pan... – mruknęłam. – Ja nawet pana nie znam.

Wstał i ukłonił się z powagą.

– Tomasz Brzozowski. Pani wybaczy.

– Wybaczam panu. – Machnęłam ręką. – Wybaczam panu scenę w szpitalu. Wybaczam wtargnięcie tutaj. Wybaczam... badanie bezbronnej kobiety. Wybaczam postawienie jej w niezręcznej sytuacji. Wybaczam...

Uniósł dłoń.

– Ja pani wybaczam scenę w szpitalu. Wybaczam rozgłoszenie, że przeze mnie jest pani umierająca. Wybaczam sprowadzenie mnie tutaj. Wybaczam pani udawanie umierającej. Wybaczam... postawienie mnie w niezręcznej sytuacji.

Pukanie do drzwi szczęśliwie uchroniło mnie przed odpowiedzią. Do pokoju weszła Anna i spojrzała na niego z nadzieją.

– Panie doktorze?

Modliłam się, aby nie powiedział jej o moim prawdziwym stanie zdrowia. To było dosyć dziwne. Ja czułam, że duch opuszcza moje ciało, on twierdził, że nic mi nie jest. Kto miał rację?

– Silne wzburzenie spowodowało wstrząs. – Brzozowski zdjął okulary. – Ciśnienie krwi wzrosło, następnie spadło. Stąd objawy. Gorączka, która męczyła pacjentkę, wzięła się z niestabilności pogody. Z aplikowałem lekarstwo. Pacjentka teraz powinna wstać i nabierać sił na świeżym powietrzu.

Anna złożyła ręce jak do modlitwy.

– Jesteśmy panu nieskończenie wdzięczne.

Pochylił głowę i ucałował jej palce.

– To nic, łaskawa pani – powiedział z wielką powagą. – Ja sam przyczyniłem się poniekąd do wywołania objawów choroby. Zatem przyście tutaj potraktowałem jako mój obowiązek. – Sięgnął po kapelusz. – Panie pozwolą, że się oddalę. – I kiwnął głową w moją stronę.

– Panie doktorze – wykrztusiłam.

Spojrzał na mnie i zacerwieniłam się pod uważnym spojrzeniem jego szczerych błękitnych oczu. Tomasz Brzozowski był dość wysoki i szczupły, miał pociągłą twarz i ujmujący uśmiech, a ręce piękne, zupełnie jak u lekarza. Zawstydziłam się, że widział mnie najpierw wrzeszczącą niczym prosta dziewczyna, a następnie w pościeli i nieładzie, w którym nawet mężowi nie powinnam się pokazywać. Chciałam go zatrzymać. Chociaż arogancki, impertynencki wręcz, budził zaufanie. Rzecz jasna nic nie powiedziałam. Słyszałam jedynie, jak żegna się na dole z matką, a potem trzaskają drzwi. Byłam gotowa znów zemdleć albo udać chorobę, byleby znów wrócił i chwycił mnie za przegub.

– Karolino – powiedziała Anna, pomagając mi się ubrać i ułożyć włosy. Czułam się trochę słabo, ale poza tym zupełnie dobrze. – Cóż to za cudowne lekarstwo podał ci ten człowiek, że nagle ozdrowiałaś?

Na szczęście stałam tyłem do niej, nie mogła zatem zobaczyć ciemnego rumieńca na mojej twarzy.

– Nie wiem. Kazał wypić. Od razu... Od razu zrobiło mi się lepiej – dodałam, a potem spytałam trwożnie: – Co teraz będzie?

– Rozmawiałam z doktorem Kossobudzkim – przemówiła po dłuższej chwili. – Przystań się dręczyć. Nie musisz za niego wychodzić.

– Nie? – Jęknęłam.

– Nie. – Usiadła na brzegu łóżka, a ja ostrożnie otworzyłam oczy.

– Jak mama to przeżyje?

Przybrała smutny wyraz twarzy.

– No cóż. Będzie musiała to przeżyć. Bała się o twoje zdrowie i dała nawet na mszę. Myślę, że ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało.

– Sądziłam raczej, że gotowa wygarbować mi skórę – przyznałam się.

Anna pogłaskała mnie po twarzy.

– Chodźmy na dół. Mama czeka.

Objęłam ją, jak dawniej położyłam głowę na jej ramieniu. Czułam się jeszcze słabo, ale doktor Brzozowski miał rację. Trzeba było wyjść kłopotom naprzeciw.

– Dziękuję ci...

– Dopięłaś swego, siostró. – Poklepała mnie po plecach.

Posłusznie skierowałam się ku drzwiom.



Zawładnął moim umysłem. Śniłam o nim w nocy, a na jawie wyobrażałam sobie, że prowadzimy niekończące się dyskusje na temat chorób, pracy lekarza i – co tu dużo mówić – mojej roli jako jego żony. Roilałam sobie, że jestem heroiną rozdzieloną z kochankiem, nieszczęsną Izoldą tęskniącą za swoim Tristanem, syreną z bajki Andersena, która zamieniona w morską pianę patrzy na szczęście ukochanego mężczyzny. Nie wiedziałam, czy nie jest z kimś po słowie, czy nie ma gdzieś rodziny, ale byłam pewna, że jeśli nie będzie go przy mnie do końca moich dni, niechybnie umrę na zapalenie mózgu czy inną straszną przypadłość. Byłam zdrowa, ale jakby chora. Czoło miałam zimne, ale trawiła mnie gorączka tęsknoty, oczy piekły od wypatrywania go w kościele i par-

ku. Serce biło mi szybko i mocno, ilekroć zdołałam dostrzec sylwetkę podobną do jego. Tomasz Brzozowski. Wyobrażałam sobie, jak siedzi przy innej kobiecie i to ją trzyma za przegub, czując jej przyspieszony puls. Ta myśl powodowała, że znów zapragnęłam położyć się i udawać umierającą. Kilka razy miałam przyznać się siostrze do swoich uczuć i błagać ją, aby zaaranżowała spotkanie między nami, ale rezygnowałam. I cóż bym mu powiedziała? Że myślę o nim dzień i noc? Zwłaszcza noce są straszne, bo budzę się trawiona dziwną gorączką, której źródło znajduje się w dole brzucha. Jeśli żywił do mnie jakikolwiek szacunek, w co wątpiłam, straciłby go do reszty.

Lato mijało, a ja nie przestałam wypłakiwać sobie oczu za aroganckim doktorem. Schudłam i zbladłam, zrobiłam się też drażliwa, momentami wręcz nieznośna. Przysparzałam Annie cierpienia. Moja matka uspokoiła się nieco. Od czasu mojej „choroby” nie patrzyła krzywo, przeciwnie, bardzo uważała, aby mnie nie urazić. Widocznie moja siostra wmówiła jej, że jestem słabego zdrowia i nieodpowiednie traktowanie może spowodować nawrót dolegliwości. Matka załamała się jedynie raz, kiedy nasza daleka ciotka przyniosła z miasta najświeższe plotki.

– Wesele zrobili z wielką pompą – mówiła z emfazą. – Sprowadził suknię dla panny młodej aż z Paryża!

To doktor Kossobudzki znalazł wreszcie swą wybrankę. Była nią moja szkolna koleżanka Wisława. Dziewczyna prosta, miła i wdzięczna, od lat zadurzona w synu młynarza, który nie miał grosza przy duszy. Biedna Wisia, wolałaby zapewne suchy chleb jeść, niż w Krakowie jedwabie nosić.

– Jej ojciec musi być szczęśliwy – zauważyła Anna, zerkając na mnie niespokojnie.

Usta ciotki wykrzywiły się w szyderczym grymasie.

– Nie wiem, czy taki szczęśliwy. Młodszy od własnego zięcia...

Biedna Wisia.

– Na pewno będą szczęśliwi – pospieszyła Anna z zapewnieniem. – Doktor jest bardzo... dobrym człowiekiem i ogromnie chciał...

Ciotka spojrzała na mnie ze źle skrywaną satysfakcją.

– Bardzo chciał mieć żonę, która będzie jego przyjacielem w jesieni życia – odparła. – Wisia szybko zostanie wdową, a potem przyjaciela po sercu wybierze.

A zatem to tak. Stary szybko umrze, a ona wyjdzie za młynarza i wniesie mu wdowi posag.

– Bo ty, Karolinko, wybrzydzasz i wybrzydzasz – zaczęła, unosząc do ust filizankę. Mały palec sterczał jej przy tym sztywno na zewnątrz. Matka skrzywiła się. Niepotrzebnie. Nie zazdrościłam Wisi takiego losu. Przeciwnie – współczułam ogromnie.

– Kiedy wyjeżdżają? – spytałam uprzejmie.

– Ależ nie wyjeżdżają wcale! – Ciotka machnęła pulchną ręką. – Zostają tu, w Otwocku. Doktorostwo służącej szuka. Kucharkę już mają, ja to, nie chwając się, poleciłam im moją kuzynkę. Ale służącej wciąż nie. Wisia ponoć wybredna i żadnej dziewczyny nie chce w domu widzieć. Z Warszawy mają kogoś sprowadzić.

– Dlaczego nie wyjeżdżają?

Byłam głęboko wdzięczna mojej siostrze za to pytanie. Ja nie odważyłabym się go zadać.

– Doktor nie może opuścić swoich pacjentów.

– Jest sam w szpitalu? – zdumiała się Anna, a ja spuściłam gwałtownie głowę. – Nie ma innych lekarzy?

– O ile wiem, nie ma. Mówiła mi to Teresa, moja kuzynka, która jest naczelną siostrą miłosierdzia. Bo widzicie...

W głowie mi szumiało. Ciotka zajadała ciasteczka, popijając herbatę. Widziałam jej poruszające się wargi, ale nic nie słyszałam.



Dostrzegłam go w tłumie wiernych w czasie święta Matki Boskiej Zielnej. Stał w bocznej nawie i modlił się w skupieniu. Bałam się, że wyjdzie z kościoła, zanim skończy się msza, i nie zostanie na festynie ani kweście dobroczynnej.